z nieludzkiej ziemi

Wacław Jaroszyński

33 miesiące zesłania na Uralu

Opracowanie redakcyjne,
formatowanie i łamanie
s. Elżbieta Maria Płońska CR

Projekt okładki *Edyta Filipczuk*

Na okładce fot. *Sylwia Brzostowska-Tarnowska*

Tłumaczenie aneksu 2. z j. rosyjskiego
i konsultacja nazw rosyjskojęzycznych
Aleksander Iwaszczonek

Opracowanie komputerowe aneksów *Stanisław Filas*

© Copyright by Norbertinum 2010

ISBN 978-83-7222-424-8 ISSN 1508-7956

Sześćset dwudziesty czwarty tytuł Norbertinum

NORBERTINUM
WYDAWNICTWO - DRUKARNIA - KSIĘGARNIA
spółka z o.o.
ul. Długa 5, 20-346 Lublin
tel. 81 744 11 58 fax 81 744 11 48
norbertinum@norbertinum.pl
www.norbertinum.pl

I.

Aresztowanie i przesłuchania

W dniu 6 grudnia 1944 roku jako pracownik Urzędu Gminnego w Skierbieszowie udałem się do wioski Huszczka Mała celem sporządzenia umów z rolnikami na kontraktację płodów rolnych.

Przechodząc kładkę na Wolicy i idąc drogą w górę ku Huszczce, zetknąłem się z żołnierzem z jednostki wojsk wewnętrznych. Kilku z nich minąłem w leżącym za rzeką Zabytowie.

Żołnierz ten zapytał mnie ni stąd, ni zowąd, czy uznaję nową władzę, czy też trzymam z podziemnym kierownictwem. Z wypowiedzi mojej widocznie wywnioskował, że jestem zwolennikiem raczej tej drugiej orientacji, i doniósł o tym swoim przełożonym (grupie operacyjnej).

Ścigała ona byłych akowców, jak też przeprowadzała poszukiwania członków jednego z pułków II Armii Wojska Polskiego - żołnierzy, którzy zdezerterowali z tej jednostki.

Zaprowadzony do domu, gdzie kwaterowało dowództwo owej grupy, pod przymusem fizycznym, pod

groźbą użycia kolb karabinów, podpisałem protokół zawierający treść rozmowy z owym żołnierzem.

Nie mogłem się wylegitymować zaświadczeniem o rejestracji wojskowej z sierpnia 1944 roku, na której stawiłem się w hrubieszowskim RKU, ani nie miałem przy sobie poświadczenia, że jestem pracownikiem urzędu gminnego.

Przetrzymano mnie w Huszczce Dużej, skąd wieczorem, podczas wyprowadzenia za tzw. „potrzebą", mogłem uciec. Jednak nie zdecydowałem się jakoś na to, mimo że znałem tamte tereny i ludzi.

Następnego dnia zawieziono mnie do majątku Ewusin, na południe za wsią Iłowiec. Tu wepchnięto mnie do piwnic pałacu. Znalazłem się w towarzystwie kilkunastu młodych jak i ja partyzantów.

Po upływie kilku dni nasza grupa powiększyła się nieco, między innymi o Rozwałkę z Maciejowa -człowieka nader wesołego usposobienia, sypiącego żydowskimi anegdotami.

Wzywani byliśmy na górę na przesłuchania. Prowadził je dość inteligentny oficer, bodajże żydowskiego pochodzenia. W stosunku do mnie taktyka jego polegała na tym, by „przeciągnąć" mnie na stronę rodzącego się ustroju.

Do tego kroku jego zdaniem predestynowało mnie moje pochodzenie społeczne, ponieważ mój dziad i pradziad byli małorolnymi rolnikami, dorabiającymi we dworze.

Wychowano mnie na historycznych powieściach Kraszewskiego i Sienkiewicza oraz na literaturze legionowej, a ojciec mój był ochotnikiem w Armii Hallera. Pamiętałem również wrzesień 1939 roku, szczególnie czas po 17 września, jak też taktykę dowódców sowieckich wobec oddziałów AK w Hrubie-szowskiem w sierpniu 1944.

Z tych przyczyn opierałem się teraz skutecznie takim agitacjom, nawet swoimi argumentami wprowadzałem w zakłopotanie oficera prowadzącego rozmowę. Nazwał on mnie Wernyhorą.

Pamiętam, że przez następne dni każdego ranka skoro świt strzegący nas żołnierze sprawdzali, czy znajduję się w piwnicy. Wraz z grupą załadowaną na samochody zawieziono mnie do Czartorii-Krzaków, ale tam prócz zbiorowej mogiły partyzantów po boju pod Świdnikiem niczego nie znaleziono.

Schwytano tylko dwóch młodych chłopców: Józefa Iwaninkę i Władysława Sochę, których przetrzymano kilka dni w Ewusinie i wypuszczono.

Okres przed świętami Bożego Narodzenia oraz, jak mi się wydaje, końca grudnia 1944 roku spędziłem w piwnicach Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Zamościu przy ulicy Żeromskiego. Przesłuchiwał mnie cywilny pracownik śledczy, noszący nazwisko bodajże Zawiślak.

Ten również, wzorem owego oficera z Ewusina, usiłował swoimi argumentami nakłonić mnie do przejścia na stronę władzy ludowej. Zabiegi jego spełzły na niczym, w następstwie czego powędrowałem do więzienia mieszczącego się przy ulicy Okrzei.

Sale więzienne przeładowane były zatrzymanymi. Przekrój społeczny aresztantów prezentował się dość szeroko: od pracowników administracji majątków ziemskich (zarządcy, leśnicy, pisarze) po dowód-

ców niższego szczebla tak ze strony Armii Krajowej, jak i Batalionów Chłopskich.

Dni upływały nam na rozmowach i dzieleniu się uwagami na temat przesłuchań, jak też komentarzami odnośnie do sytuacji w terenie.

O tej sytuacji mówili świeżo przybyli do więzienia, a nawet czasem strażnicy więzienni.

II.

Droga w nieznane

21 stycznia 1945 roku przebywałem w zamojskim więzieniu przy ulicy Okrzei. Tego dnia obudzono nas przed świtem. Poczęto nas wpychać do stojących w pobliżu samochodów ciężarowych, czemu towarzyszył oślepiający blask reflektorów ustawionych na ulicy przed gmachem więzienia i gęsta obstawa strażników więziennych. Zabrano nas w sumie kilkudziesięciu więźniów.

Dokąd nas powiozą? Chyba nie do Warszawy, którą czas najwyższy uwolnić z rąk niemieckich, do czegośmy wszyscy się rwali. Jednak Warszawa jest już podobno wolna.

Świta. Rusza kolumna samochodów, na każdym z nich po trzech żołnierzy z Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Kierunek jazdy - Lublin. Dojeżdżamy do połowy drogi między Zamościem a Lublinem -las po obu stronach szosy, przed Łopiennikiem.

Przekazany szeptem i wyrażony domyślnym gestem ręki pomysł ucieczki z samochodów jakoś u współtowarzyszy nie znalazł oddźwięku. Minęło kil-

ka minut i las się skończył, a zaczęła się otwarta przestrzeń.

Jesteśmy w Lublinie na dworcu kolejowym. Wokół stoi gęsty kordon żołnierzy KBW. Wpędzają nas do towarowych wagonów. Pojawiają się nowi więźniowie z różnych stron województwa.

W wagonie mieści się po około 30-40 osób. Do wagonu, w którym się znalazłem, prócz nas - około dwudziestu z zamojskiego więzienia, doszło tyluż nowych.

Ci nowi - z Rozkopaczewa, Ludwina, z Lubartowa i okolic są to młodzi chłopcy o sypiącym się wąsie. Ich nazwiska to: Aftyka, Kusyk, Karwacki, To-boła, Sternik, Kępa, Kotlarz, Paśnik. Inne nazwiska dopiero później utrwalą się w pamięci.

W przeciwieństwie do naszej, zamojskiej grupy, wśród której są nauczyciele, lekarze, leśnicy, urzędnicy z cukrowni, ci nowi to przeważnie wiejscy chłopcy, nieco nieśmiali. W wagonie zajęli zwarte miejsce obok nas, a nie pośród naszej gromady.

Lokomotywa ruszyła, ciągnąc za sobą sznur towarowych wagonów, a w nich nas - uczestników walk partyzanckich, gotowych wyzwalać Warszawę. Chcieliśmy jak najprędzej uwolnić ją od śmiertelnego wroga, dla którego czas pożerania milionów ofiar naszego narodu zbliżał się ku końcowi.

Jeszcze przed wywiezieniem, w zamojskim więzieniu napisałem artykuł - apel, który odczytałem wśród nas - akowców. Mówiłem w nim, że nadeszła chwila generalnej pomsty na ciemiężycielu. Wszak pod Stalingradem narodził się „mściciel" ujarzmionych narodów słowiańskich i z niespotykaną dotąd siłą zaciska swoje kleszcze na słabnącym i cofającym się najeźdźcy.

Pomimo tej naszej gotowości i deklarowanej chęci do dalszej walki z nim - dokądś nas teraz wiozą. Ale dokąd?

Lokomotywa skierowała się ku wschodowi. Z tego wynika, że nie my będziemy wroga dobijać! Mijamy Minkowice, Dominów, Jaszczów, Trawniki, Rejowiec, Chełm - a więc nie kierujemy się na zachód, lecz na wschód - „na białe niedźwiedzie"! Na myśl o tym serce ściska lodowaty chłód. Mijamy Dorohusk.

Wielu z nas, mając pełną świadomość, dokąd nas wiozą, szuka skrawków papieru. Na bibułce papierosowej wyproszonej od palącego kolegi wypisuję swoje imię, nazwisko i miejscowość, skąd pochodzę, wraz z dopiskiem, dokąd jedziemy. Ten „list" wyrzucam przez szparę w drzwiach wagonu.

To samo czynią inni. Po przejechaniu mostu na Bugu konwojowanie nas przejmują „krasnoarmiejcy".

III.

„Na białe niedźwiedzie"

Bezkresne tereny zabużańskie. Warstwa śniegu grubsza niż po naszej stronie, zawieje i zamiecie śnieżne. Skuleni, zmarznięci, tulimy się w wagonie grupkami.

Żelazny piecyk pośrodku wagonu, jeżeli nawet jest do niego opał, wrzucany przez konwój w postaci bierwion, ogrzewa tylko najbliższych, znajdujących się tuż obok niego.

Jedzenie dają podłe -jakieś rybne konserwy, ryby luzem, kaszę. Dokucza nam bardzo brak wody. Potrzeby fizjologiczne załatwiamy do otworu w podłodze, mocz wydalamy przez szpary w drzwiach wagonu. W jednej ze ścian u góry jest zakratowane okienko.

Im głębiej wjeżdżamy w tereny rosyjskie, tym więcej przybywa śniegu. Lokomotywa, ciężko dysząc, powoli posuwa się naprzód. Często staje w głuchym polu i długo oczekujemy, aż ruszy dalej. Wyglądamy wówczas przez zakratowane okienko i przez szpary

w drzwiach wagonu. Dzięki temu wiemy, gdzie jesteśmy, w jakim kierunku jedziemy.

Orientujemy się w tym po mijanych cerkiewkach. Zwrócone są one swą obudową ołtarzową ku wschodowi, a więc i nasza lokomotywa wiezie nas w tym właśnie kierunku.

Gdy przejeżdżaliśmy któregoś wieczoru obok jakiegoś miasta, oczom naszym ukazał się fajerwerk sztucznych ogni. Feta była związana z uwolnieniem jakiegoś większego miasta na polskiej ziemi. Nie wiemy, jakiego; konwój wrzucający drewno na opał i przynoszący nam racje żywnościowe ma zakazany jakikolwiek kontakt słowny z nami.

W kątach wagonu, z dala od piecyka, szkli się lód, i to dość grubą warstwą. Z naszych ust wydobywają się kłęby pary. Leżymy bądź siedzimy wciśnięci nawzajem między siebie. Jesteśmy niemyci i nieogo-leni, a odrastający zarost powoduje swędzenie skóry na twarzy i brodzie.

W dzień, gdy mamy więcej światła w wagonie, zdejmujemy spodnie i wyciągamy z nich wszy, które najchętniej umiejscawiały się w kroczu i szwach spodni i kalesonów.

Kiedy nastąpi wyładunek? Gdzieś na dalekiej le-wobrzeżnej Ukrainie wysadzono nas i skierowano do opuszczonej murowanej cerkwi, ograbionej z wszelkich paramentów religijnych.

Przeżywamy trochę rozluźnienia i chwilę medytacji o tym, jakim celom służą tutejsze świątynie. Zdaje się, że ta spełnia rolę jakiegoś magazynu.

Licząc dni, stwierdzamy, iż jest to już 10 dzień naszej jazdy. Mróz potęguje się. Na wąsach i bro-

dach każdego osadziła się sadź mrozowa. Jesteśmy zziębnięci do szpiku kości.

Podawane raz na dobę jedzenie dostarcza nieco kalorii, jednakże nie na tyle, by ciepłota ciała utrzymała się przez dłuższy czas. Dla rozgrzewki poruszamy się po wagonie i obijamy nawzajem bokami ciała.

Po jeszcze jednym czy dwu dniach podróży wjeżdżamy w górzysty teren. Puste zbocza pokrywa rzadki las. Od czasu do czasu ukazują się naszym oczom zabudowania ludzkich siedlisk.

Podczas przejazdu poprzez zakola torów przez okienko w wagonie liczymy ilość wagonów ciągnionych przez lokomotywę. Było ich 33. Licząc średnio po 35 osób w jednym, jedzie nas razem przeszło 1000 osób.

Budynki stacji kolejowych są drewniane, niektóre dość reprezentacyjne. Mniejsze z nich przypominają naszą stację w Minkowicach pod Lublinem.

Przed dotarciem do ostatecznego kresu mijaliśmy Swierdłowsk - duże miasto na Uralu. W tej miejscowości nasz eszelon zatrzymał się, ponieważ zmieniano lokomotywę. Potem pociąg z nami skierowano do celu.

W miejscu, gdzie zatrzymaliśmy się w Swiedło-wsku, znajdowało się coś w rodzaju wygonu -pustej przestrzeni. Na niej stał słup z napisem „EURAZJA", oznaczający granicę kontynentów Europy i Azji. Wagon, z którego wyszliśmy, znalazł się akurat obok owego miejsca.

Ileż refleksji nasunęło się niejednemu z nas na widok tego słupa i napisu! W oczach miałem obraz Grottgera pod tytułem *Na Sybir*. Artysta namalował

rząd skazańców z tobołkami i Kozaków uwijających się na koniach, a także towarzyszące im psy.

Przed nami, a za owym słupem rozciągała się bezkresna tajga. Co z nami będzie?

Koniec podróży nastąpił 14 dnia od przejechania mostu na Bugu. Jest 6 lutego 1945 roku. Wyładowują nas na stacji kolejowej Nagorna. W tej miejscowości znajduje się kopalnia węgla. Jesteśmy na Uralu.

Mróz dochodzi do 40 ° poniżej zera. Na mroźnym, czystym powietrzu z naszych ust buchają kłęby pary. Przybyłe sowieckie konwoje formują nas w czwórki i odprowadzają do baraków.

W baraku następuje dezynfekcja. W szczelnie zamkniętych kabinach, zwanych „prażarkami", w wysokiej temperaturze giną wszy w naszej bieliźnie i odzieży.

My, nadzy jak nas Bóg stworzył, kierowani jesteśmy do tzw. „bani", czyli łaźni, dla wykąpania się. Rozchodzi się w niej woń lizolu, którym smarujemy owłosienie krocza i pach. Włosy, brody i wąsy zostawiliśmy już przedtem w tzw. „polikmacherni", czyli u fryzjera.

Bezpośrednio po kąpieli, a przed ubraniem się, każdy z nas staje przed „wraczem" - kobietą-leka-rzem, zakrywszy dłonią swoje członki, na co ona wcale nie zwraca uwagi. Pobieżnie ocenia stan naszej kondycji fizycznej.

Dostajemy spodnie „waciaki", watowane kurtki, tzw. „kufajki", oraz kamasze z owijaczami, a ponadto watowane czapki „uszatki". Na tutejsze mrozy ubiór to odpowiedni; tylko taki strój pozwalał poruszać się i pracować.

Stworzono jakaś obozową administrację. Magazynier, Ukrainiec spod Bełza czy Tomaszowa, wraz z nami tu przywieziony, niektórym swoim znajomym rozdał nawet kożuchy.

Do krojenia chleba na porcje wyznaczono Polaka - leśniczego Smalą z lasów Ordynacji Zamojskiej. Kucharzem został Władysław Głowacki ze Szczebrzeszyna - chyba restaurator, bo w więzieniu przy Okrzei w Zamościu otrzymywał często sute paczki.

Lekarzem mianowano Leopolda Bieleckiego, felczerem - Tadeusza Paździora. Obaj, zdaje się, pochodzili z rejonu Szczebrzeszyna. Pisarzami obozowymi zostało czterech Polaków: Piotr Iracki, Pomorski oraz dwaj byli pracownicy urzędu gminnego ze Żmudzi w powiecie chełmskim, których nazwisk nie zapamiętałem. Fryzjer, który nas strzygł i golił, to Edward Świerszcz spod Krasnobrodu.

Odbyło się ogólne spotkanie nas, więźniów, z władzami łagru. Z rosyjskiego tłumaczył na polski może 19-letni młodzieniec, Polak, ale niepochodzący z naszego transportu. Kim on był, trudno powiedzieć.

Treść wystąpienia władz łagru stanowiło opisanie rodzaju pracy, jaka nas czekała w kopalni węgla. Zaznajomiono nas również z obozowym regulaminem.

IV. Łagier Nagorna

Obóz w Nagornej obejmował dużą przestrzeń, zamkniętą wokół wysokim płotem z wieżyczkami po bokach i rogach ogrodzenia. Wieżyczki te to tzw. „wyżki" dla strażników. Wewnątrz tej odciętej przestrzeni znajdowało się sporo drewnianych baraków.

Po wewnętrznej strome ogrodzenia, tuż przy płocie rozciągał się szeroki na 4-5 m pas zaoranej ziemi, bez jakiejkolwiek trawki czy chwastu. Szmat tej roli to tzw. „zaprietnaja zona" - teren, przestrzeń zakazana, na którą nie można było nie tylko wejść, ale i zbytnio przybliżać się do niej.

Stanowiło to zabezpieczenie przed ewentualną ucieczką z łagru. Gdy ktoś zbyt blisko podszedł do owego pasa ziemi, z „wyżki" rozlegało się nieprzyjemne „bieriegiś!", tzn. „uważaj!", „strzeż się!".

Wewnątrz baraków ustawione były drewniane, piętrowe prycze po obu stronach szerokiego korytarza, który biegł od wejścia do końca baraku. Prycze tak dolne, jak i górne, wzdłuż przedzielała deska,

a po obu jej stronach znajdowało się miejsce do spania dla dwu więźniów.

Co dwa metry bieżące z kolei deska poprzeczna zamykała tę przestrzeń z opartym o nią drewnianym zagłówkiem. Dalej była taka sama dwumetrowa przestrzeń zakończona poprzeczną deską i zagłówkiem - i tak aż do końca pryczy.

Spaliśmy z głowami zwróconymi do siebie po obu stronach owej poprzecznej deski - przegrody. Sienniki dano nam stare, zleżałe; koców do przykrycia się nie było - do tego celu służyły nam „szynele", czyli płaszcze, bądź kurtki „kufajki".

Podłoga, tzw. „poł", była drewniana. W części czołowej baraku ceglany szeroki piec ogrzewał cały budynek. Kilka żarówek o słabej mocy dopełniało wystroju każdego baraku. Z boku, za mieszkalnymi barakami biegła długa latryna, służąca do załatwiania potrzeb fizjologicznych.

Rozkład dnia przedstawiał się następująco: rano ogłaszano „podiom" - pobudkę, potem szliśmy do baraku - kuchni, aby pobrać 200 gram chleba; w drugim okienku nalewano nam do blaszanych misek po chochli „zupy" z rozbełtanej mąki, z kapusty lub -latem - z pokrzywy. Po tym „śniadaniu" następował wymarsz do „szachty", tzn. kopalni, oddalonej o 300 m od obozu.

Nad kopalnią stał barak; w nim znajdował się „kliet", tzn. winda, która zwoziła nas w dół, przebranych już z waciaków w grube, z białego drelichu ubrania „szachciorskie" - górnicze.

Na dole pobieraliśmy lampy górnicze i pod wodzą sowieckich sztygarów rozchodziliśmy się po pod-

ziemnych korytarzach. Pobieraliśmy też oskardy do kucia ścian węglowych. Pracujący przy obudowie wyrąbanych korytarzy dostawali piły i siekiery.

Początkowo przeznaczono mnie do „kriepienia" - obudowywania węglowych korytarzy drewnem. Byłem więc „kriepilszczykiem". Trójka nas - „kriepil-szczyków" przy pomocy piły i siekiery przygotowywała sosnowe belki, tzw. „stanki", które wkopywało się w chodnik po jego obu stronach. U góry na owe dwa „stanki" umieszczone naprzeciwko siebie wpasowywało się belkę poprzeczną.

Dalej w ten sam sposób stawiane były dalsze „stanki" z poprzecznymi belkami, na które kładliśmy deski - „oszasty". Nad chodnikiem powstawał w ten sposób sufit. Od góry do dołu czy raczej odwrotnie -od dołu ku górze ściany boczne należało wypełnić jeszcze obudową z desek, aby węgiel nie osypywał się na chodnik. W ten sposób zabezpieczano go tak z góry, jak i z boków.

Koniec chodnika węglowego przed nami to tzw. przodek; według sowieckiego sztygara - „zabój". Przy tym przodku stawiano najsilniejszych „zakliu-czonnych" - uwięzionych. Ci zwali się „borylszczyka-mi" od czynności wiercenia, czyli „borowania" ściany przodkowej młotami pneumatycznymi.

Pracowało ich razem zazwyczaj dwóch. Wywiercali świdrem w ścianie węglowej 4-5 głębokich otworów w geometrycznym od siebie oddaleniu, po czym nadchodził miejscowy „szachcior-odbojszczyk".

Ten z kolei wkładał w powstałe otwory ładunek wybuchowy w postaci jakby ciemnoszarej świecy

o 10-centymetrowej długości i grubości palca, zakończonej dość długim lontem.

Gdy wszystko było gotowe, lonty podpalano. Następował „odpał" i obsunięcie się węgla w przodku. Po zebraniu „urobku", tj. obsuniętego węgla, chodnik węglowy wydłużał się, a dla nas, „kriepilszczyków", zaczynała się praca przy dalszej obudowie.

Na moment „odpału" materiału włożonego przez „odbojszczyka" oddalaliśmy się wszyscy kilkanaście kroków do tyłu, dla bezpieczeństwa i aby nie wdychać mdłego zapachu saletry używanej jako materiał wybuchowy. Potem wracało się na tyły chodnika po wózki węglowe i podjeżdżało nimi po szynach zamontowanych w posadzce chodnika pod przodek, aby uprzątnąć kawałki węgla.

Pchanie do tyłu, do punktu rozjazdu, wózków, które nieraz wypadały z szyn, było pracą najbardziej wyczerpującą. Należało szybko przygotowywać miejsce wózkom pustym, zdążającym do przodku po następne porcje węgla.

Tę czynność wykonywało się już po połowie zmiany, gdy nasze organizmy pracowały resztkami sił, zużywając do końca niewielkie zapasy kalorii uzyskanej z porannej kromki chleba i wodnistej zupy.

Po powrocie z „szachty", jeżeli praca odbywała się w dzień (bo były i nocne zmiany), czekał nas obiad, mało różniący się od śniadania. Potem powracaliśmy do baraków sypialnych na wypoczynek.

Czy naprawdę można było mówić o wypoczynku? Przy świetle żarówki dawały znać o sobie pluskwy, które wyskakiwały z sienników i z różnych zakamarków prycz. I zaczynały swój lot nad pryczami i nami leżącymi na nich.

Na kolację otrzymywaliśmy jakąś zupę-lurę z kromką chleba. Znów czekało się następnego ranka, by dostać porcję 200 gramów chleba i miskę zupy - i „apiat[v] w szachtu" - znów do kopalni! Spod bramy łagru wyruszaliśmy na komendę konwojentów: „Szagom marsz!" - Krokiem marsz!

W początkowym okresie, gdyśmy mieli jeszcze jaką taką kondycję, byliśmy dozorowani przez miejscowych „grażdan-szachciorów". Wyznaczane nam normy wydobycia węgla - tzw. „urobek", choć z trudem, ale wypełnialiśmy.

W chwili uwięzienia, a potem podczas wywózki miałem na sobie odświętne ubranie - solidne kamasze, dobre spodnie i ładnie skrojoną marynarkę w kratę. Dlatego też wyglądałem porządnie.

Ponadto w położeniu, w jakim się znaleźliśmy, nie traciłem ducha, choć wewnątrz mnie dusza płakała. Po pracy i w niedzielne wolne dni nieraz czerniłem sobie wąsy i bokobrody zwyczajem zachowanym z okresu partyzanckiego.

Dodać jeszcze wypada, że dr Bielecki przyjechał tu w kapeluszu i by uniknąć brania go za „pomie-szczyka" - obszarnika, dał mi to eleganckie nakrycie głowy w zamian za moją czapkę. To bardziej jeszcze poprawiło mój wygląd.

Wielu, pamiętając z więzienia w Zamościu mój gorący apel wzywający do walki z Niemcami i zawierający myśl, iż będzie przewodzić nam „mściciel Słowiańszczyzny" zrodzony nad Wołgą pod Stalingradem, uważało mnie za dziennikarza.

Nie zaprzeczałem i nie potwierdzałem. Przed aresztowaniem, bywając w Zamościu, odwiedzałem w starostwie Janinę Kalinowską i Franciszka Wysockiego, moich krajan z Grabowca. Widywałem u nich „Gazetę Zamojską", wówczas już wydawaną.

Może ze względu na mój wygląd zewnętrzny (bo mego charakteru i predyspozycji władze łagru nie znały) w pierwszych dniach sierpnia 1945 roku powołano mnie na jednego z trzech komendantów obozu.

Komendantem głównym był Stanisław Kulczycki z Piasków Szlacheckich - duże, proste chłopisko. Niemniej jednak swoją funkcję wypełniał dość sprężyście, ku zadowoleniu kierownictwa łagru, do końca swego pobytu - do początków roku 1946.

Drugim komendantem był Piotruś (nazwiska nie pamiętam), bodajże narodowości ukraińskiej, rodem z Wierzby koło Starego Zamościa. Ten również dobrze wywiązywał się ze swojej funkcji. Organizował, zgodnie z życzeniami władz sowieckich, zbiórki na ogólnym placu, pobudki na „podiom", porządki w barakach i na terenie łagru itp.

Musiało to być czynione energicznie. W barakach podczas „prowierki" (sprawdzania stanu liczbowego) nie miał prawa nikt pozostawać, za wyjątkiem osób mających zwolnienie lekarskie.

Rola komendanta nie ograniczała się jedynie do przeprowadzania apeli obozowych. Wyznaczał on także do robienia porządków wokół baraków oraz

wewnątrz nich, jak również do spulchniania ziemi wzdłuż parkanu, na „zaprietnej zonie". Tę ostatnią czynność wykonywało się wyłącznie pod dozorem sowieckiego konwojenta.

Do prac zlecanych przez komendantów, a każdy z nich miał przydzielonych sobie kilka baraków, należało też noszenie wody do kuchni lagrowej, rąbanie drzewa tak do pieców barakowych, jak i do kuchennego.

Czynności te spadały na więźniów przebywających w barakach po pracy nocnej pod ziemią w kopalni. Zamiast wypoczywać, od czasu do czasu musieli „swoją kolejką" spełniać te polecenia dodatkowo.

Momenty, gdy zmęczony leżałeś okryty płaszczem czy „kufajką" i byłeś szarpany za nogi oraz wysyłany do wyżej wspomnianych prac, należą do najgorszych i najbardziej nieprzyjemnych.

Mój łagodny charakter, delikatność w traktowaniu ludzi takich, jak ja sam, i znajdujących się w takim samym położeniu, nie pozwalały mi na brutalność i żądanie posłuchu.

Byłem za miękki w egzekwowaniu narzuconych mi obowiązków, toteż po upływie około 3 tygodni wyznaczono na moje miejsce jako komendanta innego współwięźnia.

* * *

Byliśmy zupełnie odcięci od świata, odizolowani od miejscowego społeczeństwa zamieszkującego małe osiedle. Stykanie się w dole kopalni z miejscowymi

brygadzistami polegało jedynie na wypełnianiu ich poleceń i słuchaniu rad, jak wykonywać pracę.

Z pewnością wiedzieli oni o nas mało; od władz łagru zapewne mieli o nas informacje jako o faszystach i przeciwnikach władzy sowieckiej. Toteż o świecie i wydarzeniach, poza trzema sprawami, nie informowano nas w ogóle.

Do owych trzech wyjątkowych przypadków, o których wspomniałem, zaliczam:

- śmierć Delana Roosevelta, prezydenta Stanów Zjednoczonych, którego Sowieci uważali za swojego przyjaciela;
- podpisanie przez Tymczasowy Rząd Polski układu o przyjaźni i współpracy z ZSRS w kwietniu 1945 roku;
- dzień 9 maja 1945 - zwycięstwo nad Niemcami.

Wówczas nam wszystkim, gromadnie zebranym na placu apelowym, podawano do wiadomości te fakty.

Poza tymi wydarzeniami nasze dni spędzane w kopalni czy na wyrębie w lesie niczym paciorki różańca nie różniły się między sobą. Ta sama wielkość porcji chleba, ta sama zupa „zalewajka", te same prace porządkowe, ta sama goła prycza, te same atakujące nas pluskwy...

Jedynie ci z nas (a była ich garstka), którzy wykazywali się wyrabianiem normy, raz w tygodniu tytułem zapłaty otrzymywali dodatkową porcję chleba i „żyr" - mielone mięso z kaszą. Był to tzw. „suchyj pajok" - sucha racja (żywnościowa).

Tę naszą szarą codzienność raz tylko rozjaśnił występ jakiejś grupy baletowej - na poły wojskowej, na pół cywilnej. Dała ona przed „naczalstwem" łagru i nami swoje przedstawienie.

Nie było to moje pierwsze zetknięcie się ze wspaniałymi, przyznać trzeba, występami sowieckich artystów. W Wojsławicach we wrześniu 1944 roku miałem możność obejrzeć występ Centralnego Zespołu Artystycznego Armii Radzieckiej. Jego członków rzeczywiście trzeba nazwać mistrzami w swej sztuce.

I teraz występowali: wspaniały akordeonista, iluzjonista i grupa tancerzy. Śpiew i tańce, m.in. „kozaczok", wykonali bardzo pięknie.

Nieco odmiany i ożywienia wniósł w życie Na-gornej i nas tu przetrzymywanych moment przywiezienia grupy akowców z sąsiedniego łagru Poło-winka.

Naturalnie ze znajomymi, których napotkali w naszym łagrze, podzielili się swoimi przeżyciami oraz opowiedzieli o warunkach pracy w Połowince. Okazało się, że i tamtejszy łagier liczył zbliżoną do naszego liczbę osób wywiezionych z Polski.

Mimo szczególnego nadzoru nad nami, „zapriet-nej zony", obstawy konwojentów przy wychodzeniu do „szachty" i przy powrocie z niej, jednemu z nas, noszącemu nazwisko bodajże Kwiatkowski, udało się zbiec z łagru i dojechać do Brześcia. Tam jednak został zatrzymany i odstawiony z powrotem, ale nie do nas, a do tej właśnie Połowinki.

Ubył nam jeszcze jeden towarzysz niedoli pochodzący z okolic Lubartowa, nazwiskiem Długosz -

o ile dobrze pamiętam. Biedak przyjechał tu na Ural chory — cierpiał na gruźlicę płuc. Nie pomogły mu wydobrzeć kromki chleba, które mu ofiarowywali koledzy razem z nim przybyli z tamtych stron. Pozostał na zimnym, dalekim Uralu.

Do przyjemniejszych momentów należało spotkanie na leśnej polanie przy rozpalonym ognisku. Wówczas to, w tej nieco nastrojowej scenerii, gimnazjalista z Krasnegostawu - Gruszczyński pięknie zadeklamował poemat *Ojciec zadżumionych* Słowackiego.

Tragiczne położenie zrozpaczonego ojca rodziny z tego utworu po trosze podobne było do losu nas samych, wywiezionych daleko od rodzin. Mimo wielokrotnych odmian księżyca - jak jest również w wierszu - sytuacja nasza wciąż szła ku gorszemu.

I gdy tak przez cały rok 1945 konwojenci pędzili nas do „szachty", gdy niejeden z palaczy papierosów otrzymał nieraz cios kolbą za złamanie szeregu w chwili podnoszenia z drogi niedopałka papierosa, doczekaliśmy się pierwszej Wigilii na Uralu.

Pracowałem w „szachcie" na dziennej zmianie, toteż wszyscy jako szczęśliwcy (wielu poszło na nocną zmianę) zgromadziliśmy się po kolacji w stołówce przy kuchni.

Nie było łamania się opłatkiem, bo skąd? Drzewka bodajże także, choćby jako symbolu; jedynie pozwolono nam zaśpiewać. I popłynęła staropolska kolęda *Wśród nocnej ciszy* o nowo narodzonym Dzieciątku, a po niej inne.

Za nimi poszły nasze pieśni partyzanckie i ta szczególna pieśń - modlitwa:

„O Panie, któryś jest na niebie, Wyciągnij
sprawiedliwą dłoń. Wołamy z różnych
stron do Ciebie O polski dach i polską
broń.

O Boże, skrusz ten miecz,
Co siekł nasz kraj.
Do wolnej Polski nam powrócić daj,
By stał się twierdzą nowej siły
Nasz dom, nasz kraj."

Gdy doszło do słów „Do wolnej Polski nam powrócić daj", u wielu z nas popłynęły łzy po bruzdach twarzy.

V. Łagier Samoswiet

Po mniej więcej rocznym pobycie w Nagornej nastąpiło przerzucenie sporej ilości nas, więźniów, do Samoswietu - następnego łagru, oddalonego o kilkanaście kilometrów.

Drogę do niego wśród zasp i zamieci odbywaliśmy pieszo. Wielu z nas już ledwie powłóczyło nogami, a celu widać nie było. Zapytywani o to konwojenci milczeli, choć może i znali odległość.

Najbardziej wyczerpanym z nas okazał się idący obok mnie młody, zdaje się młodszy ode mnie, kolega. Kilka razy w tym niesamowitym marszu, podczas podmuchów wichru, zachwiał się, czasem zginał się w pół.

Choć sam byłem słaby, podałem mu ramię, a raczej chwyciłem „pod pachę" i tak jakoś z trudem wielkim dobrnęliśmy do tego Samoswietu. Mój towarzysz miał na imię Stefan, a pochodził z Zadębiec koło Nieledwi.

Samoswiet! Pamiętam przede wszystkim to, że była to najgorsza pod względem zdrowotnym kopalnia.

Gdy w Nagornej miałeś pod stopami wodę i mimo dymu i smrodu po „odpałach" jakie takie powietrze, tutaj natomiast korytarz główny, a także boczne chodniki na tzw. „ustupach" - ustępach ścian bocznych wypełniało powietrze bardzo suche.

Podczas pracy zasychało w gardle, brakowało śliny w ustach. W bocznych korytarzach, w „urobionym", suchym jak pieprz węglu mogłeś pomimo zmęczenia usnąć jak w piasku.

Po wyjściu z „szachty" i umyciu się w „bani" obwódki oczu mieliśmy czarne, pył pozostawał wewnątrz nosa, a nasze odpluwanie miało kolor smoły.

Jedzenie było podłe, gorsze niż w Nagornej. Zależało to od uczciwości magazynierów i kierowników łagru, którzy ze skromnych przynależnych nam racji chleba, kaszy czy mąki sporą część zabierali dla swoich rodzin mieszkających poza obozem.

Nasze sarkanie nic nie pomagało. Sytuacja z wyżywieniem poprawiała się na moment, gdy kierownictwo łagru spodziewało się przyjazdu komisji, która odwiedzała od czasu do czasu obozy.

Poskarżyć się komisji nikt z nas nie odważył się, bo wiedział, że po odjeździe spotka go ewentualna zemsta.

Przez cały okres pobytu w łagrze Samoswiet pracowałem pod ziemią w okropnych warunkach.

VI. Łagry

Kruticha i Kostoucha

Z obozu Samoswiet przerzucono nas do następnego - do Krutichy. I tu spotkała nas nowość i niespodzianka w dotychczas doświadczanym łagrowym reżymie.

Zaprowadzono nas na stację kolejową i pociągiem, bodajże osobowym, zarezerwowanym wyłącznie dla nas (parę wagonów), przejechaliśmy kilka stacji kolejowych.

Budynki stacyjne sprawiały nawet dodatnie wrażenie. Drewniane, w stylu trudno określić, jakim, koloru żółtoseledynowego, w wystroju ogólnym prezentowały się nieźle. Na jednej takiej stacji w Ni-żnym Tagilu był dłuższy postój.

Przy aprobacie wyjątkowo ludzkiego konwojenta - „starszyny" (sierżanta) weszliśmy do wnętrza budynku stacyjnego. Pamiętam, że pośród „grażdan" (cywilnej ludności miejscowej) wielkim powodzeniem cieszyły się lody śmietankowe, zwłaszcza wśród dzieci.

To tu, w Niżnym Tagilu, podszedłem do tablicy informacyjnej i zacząłem odczytywać odległości dzielące nas od innych miast - tych większych, jak Wilno, Brześć, Kijów, Lwów. Odległości te były olbrzymie, idące w tysiące kilometrów.

I jak tu myśleć o wyrwaniu się z tego piekła, o ucieczce? Ucieczka w którym kierunku miałaby szansę powodzenia? Może bezpieczniej byłoby gdzieś na południe - do Pakistanu, Afganistanu czy Iranu?

Mrzonki! - podpowiedział mi rozsądek. Ścisła kontrola, codzienne „prowierki" naszego stanu osobowego, obserwacja każdego naszego kroku i karcenie za najbłahsze wyłamanie się z koszarowego reżymu oraz wytworzona wśród ludności opinia o naszym zbrodniczym charakterze przekreślały te pomysły.

Jakiż trzeba by było posiadać zapas sił i żelazny organizm, by o chłodzie i głodzie pokonać te idące w tysiące kilometrów przestrzenie!

Kruticha. Duży łagier, podobny do tych w Na-gornej i Samoswietie, tak jak tamte położony był w lesie. Otaczał go wysoki parkan, któremu towarzyszyła nieodłączna „zaprietnaja zona". W pamięci mam czystą, drewnianą „banię". Podczas kąpieli, gdyśmy oddawali się myciu, nastąpiło odwszenie naszej odzieży w „prażarce".

Tu w Krutisze czekała nas taka sama praca w kopali węgla. Gdy nie mogłeś podołać normom wydobycia i ledwie powłóczyłeś nogami, kwalifikowano cię do pracy w lesie.

Ale i tam ścinanie drzew, odcinanie gałęzi, zdejmowanie kory i odnoszenie kłód do tzw. „liesopiłki",

tj. małego leśnego tartaku, czy do podstawianych ciężarówek - to praca również wyczerpująca.

Ileż udręki sprawiało nam dźwiganie na barkach do baraków ściętych drzew! Miało to miejsce zazwyczaj po skończonej pracy. Tak karali nas konwojenci za niezbyt - według ich oceny - wydajną pracę. Żyć będziesz, ale obejmować ci się nie zechce!

Bo dźwiganie kilkunastometrowej długości sosen wymagało niejednokrotnie współdziałania 6-8 ludzi. Podczas takiego pieszego transportu na barkach długie drzewo ulegało rozhuśtaniu i przyduszało ramiona tych, którzy byli wyższego wzrostu.

Ale tym bezduszny konwojent nie przejmował się wcale, delektując się swoim sadyzmem. Wyjątki w tym względzie były rzadkie.

W każdym łagrze istniała komórka NKWD i często byliśmy wzywani na przesłuchania związane z naszą okupacyjną przeszłością. Po rosyjsku takie przesłuchanie nazywało się „doprosem".

Wielu z nas, szczególnie ci, którzy w kraju pełnili ważniejsze role w organizacji akowskiej, podlegało bardzo częstym „doprosom". Przypuszczam, że cała dokumentacja naszych przesłuchań, jakie odbywały się swego czasu w kraju, przewieziona została tu na Ural.

I ja stanąłem w Krutisze przed kapitanem NKWD, Ukraińcem - sądząc po brzmieniu jego nazwiska, które po tylu latach zatarło mi się w pamięci.

Czy to mój nędzny wygląd, czy szczerość odpowiedzi streszczającej się w twierdzeniu, że innej organizacji jak AK nie było na moim terenie, czy może to - tak myślę - że zapoznał się z przesłuchaniem mnie przez kapitana Komisji Bezpieczeństwa Wewnętrznego - absolwenta UJ w Krakowie, przed którym nie ukrywałem mojej wierności dla rządu polskiego w Londynie - sprawiły, że znalazłem u tego funkcjonariusza NKWD uznanie czy łaskę.

Powierzył mi funkcję lagrowego woziwody. Dowoziłem wodę do obozu. Studnia na terenie łagru miała dość głębokie lustro wody, której nie starczało na potrzeby przeszło tysiąca ludzi. Dodatkową wodę przywoziłem z tzw. „wodokaczki", czyli z wodociągu, jaki znajdował się w odległości 1500 m od naszego łagru.

Był to raczej rodzaj potężnego hydroforu, obsługiwanego przez specjalnego pracownika. Uruchamiał on to urządzenie, gdy tylko zgłaszałem mu swój przyjazd.

Ta „wodokaczka" obsługiwała również pobliskie gospodarstwo sowchozowe, a zwłaszcza stojącą nieopodal oborę. Dowożenie wody wymagało w ciągu dnia kilku kursów.

Do moich obowiązków należało też doglądanie klaczy zwanej „Czauchą". Miała sierść koloru beżowosiwego, a zaprzęgałem ją do beczkowozu między dwa dyszle wprzęgnięte w uprząż opasującą jej pierś i kark. Nieodzowny element tej uprzęży stanowił drewniany kabłąk, sterczący nad karkiem klaczy, zwany „dugą".

W „wodokaczce" otwierał mi kran starszy człowiek, niedający się jednak wciągnąć w poufalsze zwierzenia. Myślę, że był chłopem z Ukrainy przesiedlonym za opór stawiany podczas przeprowadzanej w latach trzydziestych kolektywizacji.

Ta grupa ludności była ściśle związana z miejscem swojej zsyłki i zasięg jej poruszania się nie mógł przekraczać 60 km. Starsze pokolenie sprawiało wrażenie ludzi zamkniętych w sobie. Inna natomiast była młodzież, której śpiewy z pól kołchozowych podczas prac rolnych często słyszałem.

Wracając do mojej funkcji woziwody, muszę powiedzieć, że przez okres jej pełnienia przyszedłem nieco do siebie. Stało się to jednak dopiero po upływie pewnego czasu.

Pamiętam, że gdy rozpoczynałem tę pracę, ledwie widziałem drogę przed sobą, bo siatkówki moich oczu pokrywała katarakta, a według nazwy ludowej - kurza ślepota.

Moje zęby, gdy dotykałem ich palcami, poruszały się niczym kołki w bagnistym terenie. Sprawił to szkorbut o wysokim stopniu rozwoju. Mój wygłodzony postem organizm domagał się odżywienia.

Gdy nikogo nie było w kołchozowej oborze stojącej nieopodal „wodokaczki", zakradałem się tam i wypijałem nieco mleka z konwi.

Raz, gdy w oborze znajdowała się obsługa i nie mogłem tam wejść, wracając z wodą, zaszedłem do drewnianej budki. Stała ona w pewnej odległości i od „wodokaczki", i od owej obory kołchozowej.

Przechowywano w niej jakieś kilofy, szpadle, a w kątku zauważyłem małą flaszkę mleka pozostawioną

przez jakiegoś robotnika. Mój wyniszczony organizm (szkorbut nie ustąpił jeszcze) pchnął mnie do tego, że wypiłem to mleko.

Poszkodowany robotnik (to mleko musiało być dla niego czymś bardzo cennym) poskarżył się władzom łagru.

Przed kapitanem NKWD szczerze zapłakałem. Podziękowałem mu za okazaną mi dobroć i przeprosiłem za popełnioną kradzież, ale nie prosząc o puszczenie jej w niepamięć.

Czyn mój spowodował utratę jakby nie było dobrego stanowiska pracy, które pozwoliło mi zakosztować nieco wolności i wyrobić sobie szersze od reszty „zakliuczonnych" pojęcie o życiu tutejszych mieszkańców.

Widziałem wczesną wiosną kobiety chodzące po polach kołchozowych i zbierające ocalałe na nich po zimie ziemniaki. Sporządzały z nich placki zwane „liepioszkami".

Po tym wydarzeniu musiałem wrócić do pracy w kopalni. Nie pamiętam już dokładnie, czy było to w Samoswietie, czy w Krutisze, gdy sztygarem moim w kopalni był Filip Roth, nadwołżański Niemiec.

Ten, w przeciwieństwie do rdzennych Rosjan, po trosze rozumiał nas, Polaków pracujących w „szach-cie" za kromkę chleba i miskę nędznej zupy.

Przed nim nie musiałem brać się nagle do pracy, gdy nadchodził. Niejednokrotnie zamiast zwalać oskardem bryły węgla z „ustupu" - obudowanej ściany węglowej, siedziałem na wiązaniach belkowych przez znaczną część zmiany. Chciałem oszczędzić swoje sity, by po powrocie oddać je własnej ojczyźnie.

Starałem się być dobrej myśli i oddziaływać na innych swoim pozytywnym usposobieniem. Porządnym wyglądem usiłowałem wyrywać z apatii i przygnębienia, choć i we mnie niejednokrotnie dusza łkała.

Ale tego nikt u mnie nie mógł zobaczyć czy wyczuć. Tak postępowałem dla podtrzymania na duchu swojego otoczenia w kopalni czy w baraku.

Ileż to razy, kolego Paczyński, odchodziłeś pocieszony i wzmocniony na duchu, gdy porozmawiałeś ze mną! A i ty, Kępo, niejednokrotnie pokazywałeś spod wąsów zęby w uśmiechu, gdy ci zadeklamowałem wiersz - anegdotę żydowską!

Pierwszemu szybciej mijały dni, bo z racji swego słabego zdrowia stale przebywał w baraku. Drugiemu dłużyły się one na nocnej zmianie w kopalni.

Nieraz „zaplątała się" do baraku „Prawda" czy „Izwiestia", a że mój stryj nauczył mnie rosyjskiego alfabetu, raz czy dwa natrafiłem w nich na wieści z kraju, np. o wyborach do Sejmu. Koledzy słuchali tego z zapartym tchem.

Korespondencji żadnej nam „nie dozwolono". O posiadaniu ołówka czy skrawka papieru na notatki nie było w ogóle nowy. Sowieckie łagry znajdowały się poza wszelkim względem Czerwonego Krzyża.

U nas nie miała żadnego zastosowania konwencja o jeńcach czy więźniach politycznych. Stanowiło to dla niejednego z nas cios, który go załamywał.

Tam, w kraju, była matka, ojciec, bracia, siostry, ukochana dziewczyna, kolega z partyzantki i wspólnej walki o wyzwolenie. Ale oni wszyscy pozostawali

bez jakiejkolwiek wieści o nas, o tym, gdzie jesteśmy, czy żyjemy i jaki przypadł nam los.

A los nasz trzeba określić jako godny pożałowania i najgłębszego współczucia. W naszych oczach wciąż widać było głód; palaczy jak magnes przyciągał niedopałek papierosa leżący na drodze; za wychylenie się z kolumny podczas marszu niejeden otrzymywał uderzenie kolbą od konwojenta.

Ci, których organizm potrzebował trochę więcej jak kromka chleba czy miska zupy-lury, można nazwać nieszczęśliwcami.

Był między nami młody partyzant, którego organizm znajdował się jeszcze w fazie wzrostu. Jemu naprawdę nie wystarczała taka mała kromka chleba na śniadanie czy kolację.

Dlatego też biedak niejednokrotnie sięgał pod cudzy zagłówek po porcyjkę chleba tego, kto trzymał ją dla wymiany na „kryszkę" (zmięte liście tytoniu owinięte w bibułkę - taki prymitywny „papieros") lub by w wolnej chwili, powoli ją spożywając, delektować się jej smakiem.

Ów partyzant stanowił rzadki wyjątek, ale iluż z nas, głodnych, po skończonym obiedzie czy kolacji nie odchodziło do baraku, lecz z blaszaną miską w ręku czekało obok kuchennego okienka na gest kucharza!

Podchodziło się wówczas po repetę, bo nieraz zostawała w kotle nadwyżka. Mieli na nią szansę ci, dla których kucharz był krajanem.

Ale nie zawsze trzeba było koniecznie być krajanem. Ileż wdzięczności zachowałem dla ciebie, Stefanie Gaiku z Nowego Sącza, czy wobec ciebie, Ta-

larczyku z Radomia, którzyście mnie czasami obdarzyli resztką tego, co zostawało w kotle!

Także i tobie, kolego spod Łukowa, jestem wdzięczny, choć już nie pamiętam dokładnie twego nazwiska (Szalewicz). Ty też nie miałeś serca z kamienia!

Nieco odmiennie przedstawiała się sprawa z porcjami chleba. Tu o nadwyżkę było trudno, ale cieszył się ten, któremu sprzyjało szczęście i otrzymał tzw. „piętkę".

Była to końcowa, brzegowa porcja, dobrze wypieczona, bez zakalca, co nie zawsze można było powiedzieć o kromce pochodzącej ze środka bochenka. Wydający porcje mógł taką „piętką" obdarzyć wyróżnionego.

Gdy tak wspominam ten okres i zastanawiam się nad zagadnieniem niezaspokojonego głodu, muszę stwierdzić, iż niedożywienie zmuszało niekiedy do stawania się podobnymi do zwierząt. Tak niestety wygląda prawda w odniesieniu do łagrów sowieckich.

Miałem dwie okazje do zaspokojenia głodu. Jedna to pójście do magazynu do przebierania kartofli. Zostaliśmy zamknięci na czas przebierania. Nie wiadomo skąd i w jaki sposób zdołaliśmy wnieść czy znaleźć w magazynie jakieś puszki, w których piekliśmy ziemniaki, by potem je z apetytem zajadać.

Pamiętając o kolegach w baraku, przed wyjściem nie omieszkaliśmy „zorganizować" po parę sztuk dla nich. Wsunąłem kilka upieczonych ziemniaków w nogawki spodni, na gołą nogę powyżej kostek.

Rewizja konwojenta nie wykryła ich, ale włożywszy je zbyt gorące, poparzyłem sobie skórę. Do dnia dzisiejszego, jeszcze po tylu latach, na skórze obu nóg widnieje podłużna pręga. To są moje „stygmaty" pamięci o głodnych kolegach w baraku.

Drugą okazję stanowiło zbieranie kapusty kołchozowej. W tym przypadku też pamiętaliśmy o bla-szankach. Dwie puszki tak dopasowane, że jedna wchodziła tęgo w drugą, trzymało się nad ogniem. W taki sposób kapusta „dusiła się" i stawała się bardzo smaczna.

Moimi kolegami w tym zbieraniu i jednocześnie pieczeniu kapusty byli szwagrowie: Michał Głąb i Stanisław Kurantowicz, bodajże z Kaczórek koło Krasnobrodu. Ten Stach także jeszcze rósł i jego organizm potrzebował zwiększonych racji żywnościowych. Głód u niego również przejawiał się w oczach.

Wielu zresztą było takich. Jak cienie chodzili ci, którzy niejednokrotnie swojej „żelaznej" porcji chleba nie zjadali, a zamieniali ją na „kryszkę".

Kończąc relację z pobytu w Krutisze, wspomnę o wypadku w kopalni, którego ofiarą padł Stanisław Sendłak ze Stanisławki w gminie Miączyn. Gdy otwierał on otwór nad korytarzem, przysypała go wielka masa węgla. Pochowaliśmy go w lasku obok kopalni, stawiając nad mogiłą krzyż.

Między Krutichą a końcowym obozem w Rieżu była jeszcze kopalnia węgla w miejscowości Kostoucha. Tam przepracowałem kilka miesięcy.

Lagier ów swoim reżymem, poziomem wyżywienia oraz warunkami sanitarnymi nie różnił się wiele od poprzednich.

Praca była ciężka, odpoczynku mało, bo wiele czynności porządkowych wykonywaliśmy także wewnątrz obozu.

VII. Łagier

Rież

Rież to rozległe, drewniane miasto o jednym czy dwóch budynkach z cegły, w których widocznie mieściły się urzędy.

Nieco za miastem, na wyżynnej przestrzeni, otoczony zewnątrz lasem rozsiadł się tutejszy łagier. Ilością baraków przypominał obóz koncentracyjny na Majdanku.

Łagier w Rieżu spełniał rolę placówki zbiorczej dla nas - Polaków spodziewających się powrotu do kraju. Natomiast dla innych narodowości mógł on stanowić nie obóz końcowy, lecz jeden z wielu na „etapie".

Łagier ten wyróżniał się swoim międzynarodowym charakterem. Naliczyłem w nim aż 17 różnych nacji. Liczbowo przeważali Polacy; za nami szli: Niemcy, Litwini, Łotysze, Estończycy, Węgrzy, Czesi, Słowacy, Rumuni, Bułgarzy, Ukraińcy, Białorusini, Serbowie, Grecy, Włosi, Żydzi...

W znacznej odległości od obozu umieszczono łagier własowców. Panował tam - jak wieść niosła -bardzo zaostrzony reżym.

Komendantem łagru w Rieżu w chwili mego przybycia był Niemiec, lat około 35, o pulchnej twarzy i kędzierzawych włosach, na które nakładał beret. Jak na pełnioną funkcję, cieszył się nawet sympatią, gdyż nie był pozbawiony ludzkich uczuć. Zastąpiony został (inaczej być nie mogło) dzikim Iwanowem - Bułgarem.

Iwanow to była bestia w ludzkim ciele: wysoki, silny i bezwzględny. Wpadał do baraków jak burza. Wymagał, by w oznaczonym czasie kolumny więźniów znajdowały się czy to na placu apelowym, czy pod bramą, już gotowe do wymarszu. Niejeden maruder oberwał od niego porządnie. A cios miał silny.

Za jego komendantury przeżyliśmy wstrząsającą „prowierkę" na ogólnym placu apelowym. Mogła to być niedziela, bo tysiące nas wypędzono na plac.

Było tam 6 Rumunów, którzy zaryzykowali ucieczkę. Złapano ich na drugi czy trzeci dzień i przywieziono z powrotem do obozu. Teraz pokaz niedoszłych uciekinierów miał stanowić dla nas przestrogę przed pójściem w ich ślady.

Wygląd tych Rumunów był straszny. Wisiały na nich strzępy koszul. Odkryte części ramion i pleców nosiły na sobie ślady zakrzepłej krwi. Oczy i twarze mieli popuchnięte.

Pozostawiono ich w tym stanie na placu apelowym na cały dzień, by ich widok odstraszał ewentualnych ochotników do zakosztowania wolności.

* *

W czasie mego pobytu w łagrze w Rieżu cały czas pracowałem w lesie. Chodziłem w długim, niemieckim płaszczu, bo taki „zafasowałem" w magazynie, gdzie zalegały całe ich stosy.

Spośród towarzyszy w pracy nad wyrębem drzew w lesie pozostał mi na długo w pamięci Franciszek -Ślązak, starszy nieco ode mnie, żonaty. On w odpowiedzi na moje ociąganie się czy zwlekanie, zwłaszcza po skończonej „pieriekurce", tzn. przerwie na papierosa, zwracał się do mnie słowami: „Dajmy się". Wówczas brałem za piłę i przycinaliśmy kłody.

Nikt nam pił nie ostrzył; osełek do siekier i pilników do pił nie było w magazynie. Chyba specjalnie tego nie sprowadzano. Pracowaliśmy przy pomocy takich tępych narzędzi.

Nieraz gdy pilnujący nas konwojent odchodził na „pieriekurkę" do konwojenta w innej grupie, kładłem się na odciętych gałęziach sosen i patrzyłem na obłoki i czubki drzew. Piękne, wysokopienne, bez sęków są uralskie sosny. Takie przeważają, choć spotyka się niższe, o rozłożystych gałęziach.

Gdy tak leżąc, wpatrywałem się w sosnowe wierzchołki, śledziłem promienie słońca igrające w igliwiu i słuchałem poszumu wiatru przechodzącego górą, przeżywałem chwile jakby zjednoczenia z tymi drzewami.

Ten szum szedł od sosny do sosny, a wówczas odnosiłem wrażenie, że jedna z nich zagaduje do drugiej. Ale na takie poetyckie przeżycia nie zawsze

mogłem sobie pozwolić. Liczyła się praca i norma, którą trzeba było jakoś wykonać.

Pewnego dnia doznałem skaleczenia ręki. Pod wieczór poczułem pieczenie pod pachą - zobaczyłem czerwoną pręgę biegnącą powyżej łokcia. Pod pachą wytworzył mi się guz.

Znalazłem się w obozowym lazarecie, gdzie dano mi zastrzyk przeciwtężcowy. Przeleżałem kilka dni, szczęśliwy, że wyszedłem cało z tego bądź co bądź groźnego stanu. Odetchnąłem też nieco od ciężkiej katorżniczej pracy.

Do tego lazaretu trafiłem wkrótce po raz drugi. Nastąpiło to w okresie, gdy, zaliczony do grupy „ok" („ozdrowitielnaja komanda"), pracowałem w kuchni. Kucharzem na tej zmianie był Romuald Siedlecki z naszego, zamojskiego transportu.

Praca w gorącym pomieszczeniu nie okazała się dla mnie odpowiednia. W pewnej chwili straciłem świadomość; jak błysk przemknęło wrażenie, że lecę gdzieś w dół. Nieprzytomnego zabrano mnie do lazaretu. Znów trochę tam odpocząłem.

W tym ciężkim dla mnie okresie pobytu, gdy byłem wrakiem o ludzkim wyglądzie, odnalazł mnie w obozie Stefan Lipski. To właśnie jego wspomagałem w marszu poprzez zaspy do Samoswietu.

Pracował teraz w piekarni obozowej, której szefował młody, inteligentny Węgier, nazwiskiem Korek. Stefan był u niego „chlieboriezem" - tym, który kroił chleb na porcje dla więźniów. Dzięki protekcji Stefana u Korka i ja - o ile pamiętam - przez jakiś krótki okres czasu pomagałem w tej czynności.

Potem już Stefan oddawał mi systematycznie swoją porcję chleba i w połączeniu z moją stanowiło to już coś. Ale znowu poszedłem do pracy w lesie.

Rok 1947 zapamiętałem jako szczególnie pogodny. Pogodne słoneczne dni letnie w ogóle przeważają na Uralu.

W niedziele zawsze wypożyczałem u Kruka (z Kraśnickiego?) - alumna seminarium duchownego w Lublinie książeczkę do nabożeństwa, którą w jakiś sposób ukrył i uchronił podczas kontroli. Drugim posiadaczem takiego modlitewnika był Paszkowski z Sarn - członek 27. Wołyńskiej Dywizji AK.

W chwilach cichego skupienia, jakie daje samotna rozmowa z Bogiem, myślami biegłem do kraju, do kolegów, do naszego polskiego krajobrazu, do grusz na miedzach.

Życie religijne w obozach, w których byłem, nie było dozwolone. Wszelkie dewocjonalia odbierano i wyrzucano.

Przebywający z nami ksiądz z Podlasia nie spełniał żadnych praktyk religijnych. Do pracy nie chodził, bo miał słabe zdrowie. Swój talent malarski spożytkowywał, malując portrety Lenina i - jak mi się wydaje -jakieś obrazy dla „naczalstwa".

Ukryte rzemiosło artystyczne uprawiał natomiast nasz współwięzień nazwiskiem Wiechnik, pochodzący gdzieś zza Wisły. Jego ryngrafy z blachy z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej i orłem w koronie posiadały dużą wartość artystyczną.

Bardzo ceniłem tego człowieka - cichego, skromnego mimo wielkiego talentu, jakim obdarzył go Bóg.

Tu w Rieżu władze NKWD pozwoliły na pewne formy życia kulturalnego. Od czasu do czasu z okazji jakiegoś ich święta: 23 lutego - Dnia Armii, 9 maja czy rocznicy rewolucji październikowej miały miejsce imprezy kulturalne.

W obozie przebywało dwóch znanych aktorów: Aleksander Aleksy i Marian Drozdowski. Ponadto został zorganizowany chór z „zakliuczonnych". Wstąpili doń ci, którzy mieli predyspozycje głosowe i słuchowe.

Repertuar chóru składał się niemal wyłącznie z pieśni rosyjskich. Ale dobre i to - nasza szara rzeczywistość nabierała w chwilach słuchania „koncertu" nieco blasku.

Utkwiły mi na długo w pamięci słowa pewnej pieśni cygańskiej, w której Cygan prosi towarzyszy, by go nie żałowano, żegna swój tabor i oznajmia, że jutro odejdzie od nich.

Ale ponad wszystkie pieśni była pieśń religijna *Ave Maria* w wykonaniu pewnego Niemca. Takiej już zapewne po raz drugi nie usłyszę.

Barwa głosu solisty (tenor), ekspresja wykonania, stan jego duszy podczas śpiewu wywarły na mnie wrażenie pamiętne do końca życia. Zapewne był zawodowym śpiewakiem i członkiem teatru czy opery w swojej ojczyźnie.

W Rieżu, jak w żadnym innym obozie, przebywały też kobiety. Miały osobne baraki.

Kręcili się koło nich ci funkcyjni, którzy z racji swych zajęć nie wychodzili za bramę do roboty. Do nich należeli: kucharze, piekarze, krawcy, szewcy, komendanci łagru czy poszczególnych baraków.

Niektóre z kobiet odznaczały się wielką urodą. Jedna z nich, jak wieść niosła, miała jakieś kłopoty z ciążą - bodajże przeszła jej usunięcie.

Była tu też ze swoim „fraucymerem" hrabina Tarnowska. Wśród kobiet jej towarzyszących wyróżniała się swoją osobowością jedna - o imieniu
Aurelia.

Sowieckie kierownictwo obozu powołało tu do życia Towarzystwa Przyjaźni Radziecko-Polskiej i Radziecko-Niemieckiej. Na czele tego pierwszego stanął Polak - Adam Moskal. Był to zażywny gość, lat około 40, z bródką. Do roboty naturalnie nie chodził.

W niedziele zrzucałem lagrowe ubranie i wdziewałem swoje - polskie, które jakoś dotąd zachowałem. Inni, jak się zdaje, posprzedawali swoje za „kryszkę".

Wyglądem wyróżniałem się zatem spośród reszty więźniów, co sprawiło, że Moskal zwerbował mnie do owego towarzystwa przyjaźni.

Udziału w zebraniach nie brałem. Pamiętam, że dał mi tarczę biało-czerwona, którą przyczepiłem do rękawa marynarki.

Zrobiłem to w nadziei, że pomoże mi to w szybkim powrocie do kraju. Bałem się, by z powodu mojej postawy podczas śledztwa w Polsce nie trzymano mnie tu Bóg wie dokąd.

VIII. Powrót do kraju

Nadszedł październik 1947 roku. Temperatura powietrza obniżyła się znacznie; czuć było nadchodzącą zimę.

Ale w sercach naszych nie odczuwaliśmy chłodu - ożywiała nas i ocieplała nadzieja powrotu do Polski.

Nareszcie! Ileż razy, pracując w lasach, z dala od linii kolejowych, gdy posłyszeliśmy daleki gwizd lokomotywy, serca i dusze nasze pytały: „Stalowy rumaku, kiedy zawieziesz nas do kraju?".

Aż wreszcie ta tląca się w nas nadzieja stała się faktem. Wsiedliśmy do wagonów towarowych, takich jak kiedyś, może tylko nie tak bardzo ściśnięci.

Żegnaj, Uralu! Obym cię więcej nigdy nie ujrzał, boś wyssał moją krew, zabrałeś moje siły, odebrałeś godność memu człowieczeństwu, ukradłeś moją młodość!

Spośród wrażeń drogi powrotnej szczególnie utkwił mi w pamięci widok szerokiej Wołgi. Na jednym jej brzegu, dość stromym, rozsiadł się majestatycznie

Kazań. Drugi, niższy, przechodził w bezkresną równinę łąk z kępami wierzb i olch.

Widziałem też żeglujący biało-niebieski statek, który zdążał w kierunku Kazania. Oczywiście, Wołgo, jesteś matką rosyjskich rzek i godna jesteś, by śpiewano o tobie pieśni.

I ty, Moskwo, zasłużyłaś na podziękowania, bo gdy stanęliśmy na jakimś twoim przedmieściu, na jednym z niezliczonych torów kolejowych, napoiłaś nas „kipiatkom" (wrzątkiem) niczym herbatą.

Bo w wagonach nie dawano nam niczego do picia, jedynie suchy prowiant. Nie zatrzymywaliśmy się na małych stacjach, a przecież „kipiatok" posiadała w tamtych stronach każda niemal stacyjka.

Dalsza droga wiodła przez Smoleńsk. Zaraz po przejechaniu tego miasta, stojąc przy drzwiach wagonu, ujrzałem w młodym lesie tablicę z napisem „KATYŃ".

Błyskawicą przez głowę przeleciała mi myśl, że to jest miejsce, o którym w roku 1943, jeszcze przed moim pójściem „do lasu", w wydawanym w Polsce przez Niemców „Kurierze" przeczytałem o zbrodni na polskich oficerach.

„Wieczne odpoczywanie racz im dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci" - wyszeptały moje wargi. U innych, którzy ten napis zauważyli, również spostrzegłem zadumę nad naszym polskim losem.

Brześć. Koniec naszej podróży. Ale tu czekała nas kwarantanna. Kwaterowaliśmy w starych pożydowskich domach i w jakichś starych wagonach na bocznych torach. Pożywienie było jałowe, w ograni-

czonej ilości, chleb kwaśny i gliniasty. Nie pilnowano nas już tak ściśle.

By zdobyć coś do jedzenia ponad porcję obozową, udałem się do sąsiednich domów. W podzięce za porąbanie drzewa właścicielka posesji, Polka, poczęstowała mnie skromnym obiadem. Polskim obiadem po trzech latach!

Ale zarówno jej, jak i innym miejscowym, nie przelewało się. Dla zaspokojenia głodu już tu, o krok od kraju, zdecydowałem się na surowe, czerwone buraczki. Jakoś na szczęście nie zaszkodziły mi.

Przed samym przekroczeniem granicy NKWD dokonało bardzo ścisłej kontroli, tzw. „obisku", nas wszystkich.

Przede wszystkim ograbiono nas z naszej własnej odzieży, jeśli ktoś ją jeszcze posiadał. Tak to utraciłem swoje zachowane dotąd ubranie i ów kapelusz dr. Bieleckiego. Zabrano mi też dobrze skrojony płaszcz niemiecki, a dano sowiecki, bury, u spodu poszarpany „szynel".

Kontrola końcowa odbyła się już prawie na samym moście na Bugu. „Armiejcy" przelecieli przez wagon jak tabun dzikich koni, zabierając, co jeszcze było u kogo do zabrania.

IX. Biała Podlaska

Po opuszczeniu pociągu udaliśmy się do miasta - pierwszy raz bez konwojentów! Przecież to już polska ziemia!

W mieście otrzymaliśmy posiłek i wskazano nam parterowy barak, gdzie na podłodze leżały wiązki słomy.

Na drugi dzień zaczęliśmy załatwiać formalności. Wyrabianie dokumentów tożsamości odbywało się w jednym z baraków, w którym mieściły się urzędy i fotograf wykonujący potrzebne zdjęcia.

Po otrzymaniu fotografii, na której widnieje nr 2754 (taka liczba powracających była wraz ze mną), otrzymałem zaświadczenie nr 058367 z dnia 2 listopada 1947 roku z Państwowego Urzędu Repatriacyjnego, Punktu Przyjęcia w Białej Podlaskiej o tym, że wracam z ZSRS i udaję się do Szystowic w gminie Grabowiec, pow. Hrubieszów. Zaświadczenie upoważniało do jednorazowego bezpłatnego przejazdu wszelkimi środkami lokomocji.

Tu w Białej Podlaskiej odszukałem Kazimierza Bednarza - byłego kierownika szkoły podstawowej w Grabowcu z lat 1932-1935. Przed moim wywiezieniem z kraju miałem wiadomość, że mieszka w tym mieście.

Trafiłem do jego parterowego domu w obszernym ogrodzie. Nie pełnił on już funkcji zastępcy starosty, lecz wraz z żoną Karoliną pracował w szkolnictwie.

Córka ich - Wanda była już dorosłą panną, a syn - Wiesio zdążył wyrosnąć na wysokiego młodzieńca. W roku 1934 był małym szkrabem.

Wiele wdzięczności winienem owemu kierownikowi za pomoc w skierowaniu mnie onegdaj do gimnazjum w Chełmie. Egzaminy zdawałem w czerwcu 1934 roku. Mieszkałem wówczas w internacie seminarium nauczycielskiego, którego dyrektorem był prof. Wojnar - szkolny kolega kierownika Bednarza.

Również z dobrego serca prof. Wojnara korzystałem pod koniec sierpnia tegoż roku. Miałem co prawda list do pułkownika Stanisława Dąbka z 7. Pułku Piechoty Legionów w Chełmie, polecający jego opiece moją osobę z prośbą o zatrzymanie mnie przy pułku, jednak pułkownik przebywał wówczas na manewrach na Wołyniu, a jego żona listu przyjąć nie mogła.

Mile przyjęty w domu kierownika w Białej Podlaskiej, obdarowany ubraniem Wiesia, serdecznie dziękując za wszystko, udałem się w dalszą podróż do domu.

Następne etapy to Łuków i Lublin, gdzie w biurze Państwowego Urzędu Repatriacyjnego przy ulicy Armii Czerwonej na rogu Lotniczej (budynku tego już dziś nie ma) zostałem obdarowany spodniami i koszulą. Na noc zatrzymałem się u kolegi Kalinowskigo przy Piaskowej 14.

Nazajutrz dojechałem do Miączyna i Czartorii, gdzie przebywała mama. Siostrze na mój widok wypadł z ręki talerz, a mama nie poznała swego syna, ubranego w sowiecki „szynel".

Po mojej wywózce wszelki słuch o mnie zaginął. Przez okres tych trzech lat zniewolenia nikt o mnie nie słyszał i nie wiedział, gdzie się podziałem. Jedynie wróżka, u której mama była, twierdziła, że żyję...

Jeszcze po upływie roku po powrocie z Uralu, a nawet później, miałem ze dwa sny. Śniło mi się, że znowu jestem wywożony. Widziałem w tym śnie ośnieżone uralskie szczyty i siebie na etapach, wśród wielu innych nieszczęśliwców.

Ale byli to już jacyś inni ludzie, nie ci, z którymi wywieziono mnie za pierwszym razem. Jakiego lęku doznałem podczas tego snu, trudno opisać. Szczęście, że był to tylko sen.

ŻYCIORYS AUTORA

Wacław Jaroszyński urodził się 16 lipca 1919 roku w Górze Grabowcu (pow. Hrubieszów). W tym miasteczku ukończył w 1934 szkołę powszechną. Jego ojciec Michał zmarł w 1921. Matka Maria oddała w dzierżawę pozostałe 4 morgi pola i pracowała u bogatszych rolników, by wychować dzieci. Mały Wacław często pasał krowę - „żywicielkę" rodziny, przez co opuszczał zajęcia w szkole. Skrupulatnie nadrabiał zaległości, korzystając z notatek kolegi.

W klasie VT i VII był prymusem. Doświadczał opieki kierownika szkoły - Kazimierza Bednarza. Ponieważ chciał kształcić się dalej, przystąpił do egzaminów wstępnych do Gimnazjum im. Stefana Czarnieckiego w Chełmie. Wobec braku środków finansowych i rozpoznanej u matki choroby płuc nie mógł rozpocząć nauki w gimnazjum i powrócił do domu. Zakupił podręczniki z I klasy gimnazjalnej i podjął samokształcenie.

W okresie od roku 1935 do lutego 1938 pracował jako pomocnik laboranta w aptece w Grabowcu. Czytywał prasę o prawicowej orientacji, a także korzystał z bogatego księgozbioru Adama Brykalskiego. Następnie zatrudnił się jako ekspedient w Spółdzielni „Zwycię-

stwo" w Szystowicach koło Grabowca. Pracę tę przerwało wysiedlenie wioski Szystowice przez okupanta hitlerowskiego dnia 25 stycznia 1943 roku.

Uczestniczył w konspiracyjnym ruchu oporu, dostarczając komunikaty z nasłuchu radiowego. Zaprzysię-żono go w styczniu 1940. W organizacji niepodległościowej ZWZ-AK nosił pseudonim „Lis".

Do leśnego oddziału Armii Krajowej należał od początku maja 1943. Dowodził por. Kazimierz Wróblewski. Tam Jaroszyński odbył przeszkolenie wojskowe. Podczas przemarszów i potyczek wspominał przeczytane relacje z powstania w 1863 roku oraz świeższe -z okresu Legionów. Oddział Wróblewskiego wskutek trudności aprowizacyjnych i sanitarnych oraz akcji pa-cyfikacyjnych uległ rozwiązaniu 7 lipca 1943 roku.

Posiadając legitymację niemiecko-polską pracowni „Społem" zaopatrującej ludność Generalnej Guberni w żywność, w lipcu 1943 Wacław Jaroszyński znalazł zatrudnienie w Centrali Przesiedleńców Niemieckich w Zamościu. Został sklepowym w Spółdzielni Rolniczo--Handlowej w Skierbieszowie, jednocześnie utrzymując konspiracyjny kontakt z dowództwem rozwiązanego oddziału oraz wspierając go finansowo i rzeczowo.

Z powodu niebezpieczeństwa wykrycia przez Niemców tej działalności i groźby napadów bandyckich zmienił pracę i zatrudnił się w Cukrowni „Klemensów", a następnie w Wytwórni Win i Marmolady w Jatutowie koło Zamościa.

Zimą 1943/1944 i wiosną 1944 pośredniczył w kontaktach pomiędzy swym dawnym oddziałem a dowództwem rejonu AK Susiec. Komendantem tego rejonu był por. „Skała" - jego cioteczny brat. Pod dowództwem

„Skały" przemycano i sprzedawano broń na terenie powiatu hrubieszowskiego.

Późną wiosną i latem roku 1944 Jaroszyński leczył się z choroby płuc i nie brał czynnego udziału w ruchu partyzanckim. W maju zakończył pracę w Wytwórni Win i Marmolady w Jatutowie. Po wyleczeniu znalazł zatrudnienie w Urzędzie Gminy Skierbieszów.

Tam też został aresztowany 6 grudnia 1944 roku i wywieziony do sowieckich łagrów na Uralu, skąd powrócił w listopadzie 1947. Zamieszkał w Zamościu przy ulicy Grodzkiej, dokąd sprowadził matkę. W grudniu tego roku podjął pracę w Powiatowym Zarządzie Drogowym w Zamościu, a w styczniu 1949 w Urzędzie Skarbowym w tym mieście.

Równocześnie od grudnia 1947 do 1950 kontynuował naukę w Liceum Ogólnokształcącym dla Dorosłych w Zamościu. W październiku 1950 podjął studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, również pracując zarobkowo.

28 grudnia 1951 zawarł związek małżeński z koleżanką z liceum w Zamościu - Krystyną Puchałą. W małżeństwie narodziło się dwoje dzieci: syn Jacek (1954) i córka Maria Małgorzata (1957).

W sierpniu 1952 zamieszkał w Świdniku, znajdując zatrudnienie w Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego, gdzie przepracował 29 lat. Tytuł magistra prawa uzyskał 27 kwietnia 1959 roku.

Na terenie miasta Świdnik znany jest jako były radca prawny wytwórni opla oraz inicjator i współzałożyciel ogrodów pracowniczych, których areał wynosi obecnie ogółem około 50 ha. W 2004 - w 50-lecie istnienia Pracowniczych Ogrodów Działkowych w Świdniku

jako pierwszy prezes z lat 1954-2004 został odznaczony pucharem.

Przez kilka kadencji sprawował funkcję przewodniczącego Zakładowej Komisji Rozjemczej w załatwianiu sporów pracowniczych z zakresu prawa pracy. Przez 40 lat był też kuratorem nieletnich.

We wrześniu 1971 roku Samorząd Robotniczy Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Świdniku nadał mu medal wybity z okazji XX-lecia istnienia zakładu za istotne przyczynienie się do jego rozwoju.

W 1989 roku Wacław Jaroszyński został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Odrodzenia Polski. W 2005 uhonorowano go Krzyżem Zesłańców Sybiru - nowym odznaczeniem, nadawanym przez Prezydenta Rzeczypospolitej osobom więzionym po II wojnie światowej w obozach pracy na Syberii.

Wręczenia tego odznaczenia w dniu 10 listopada 2005 roku w świdnickim Urzędzie Miasta dokonał Waldemar Jakson - burmistrz Świdnika. Podczas uroczystości w imieniu grupy 22 Sybiraków przemawiał Wacław Jaroszyński jako były więzień GUŁ-agów i członek Związku Sybiraków.

Powiedział min.: „Ten krzyż będzie nam przypominał lata poniżenia i ciężkiej pracy w tajdze i kopalniach, [...] lata głodu i udręki. Ale będzie też nas napełniał chlubą i dumą. Zapewniam, że resztę naszego życia poświęcimy dla piękna i dobra Świdnika i kraju". (List gratulacyjny z okazji odznaczenia Krzyżem Zesłańców Sybiru - w aneksach.)

Wacław Jaroszyński jest autorem licznych artykułów w prasie dotyczących dziejów ziemi hrubieszowskiej i losów jej mieszkańców. Wydał także pozycje książko-

we: *Siedem wieków Grabowca* (Wydawnictwo Lubelskie, 1991), *Łuny nad Huczwą i Bugiem. Walki oddziałów AK i BCh w Obwodzie Hrubieszowskim w latach 1939-1944* (jest współautorem wraz z Bolesławem Kłe-mbukowskim i Eugeniuszem Tokarczukiem; wydanie: Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej Okręg Zamość, 1992), *Władysława Czachórskiego żywot i sprawy* (Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2004).

Siedem wieków Grabowca jest to monografia osady gminnej Grabowiec w województwie zamojskim, jednej z najstarszych organizacji miejskich w Polsce. Książka wykorzystuje wiadomości zaczerpnięte z dawnych opracowań oraz zbiorów archiwalnych. Prezentuje w porządku chronologicznym kolejne etapy historycznego rozwoju Grabowca, wiele miejsca poświęcając również dziejom współczesnym - czasom II wojny światowej oraz Polski Ludowej.

Łuny nad Huczwą i Bugiem prezentują dzieje rejonu hrubieszowskiego podczas okupacji niemieckiej: sposób postępowania okupantów, pacyfikacje, walki partyzanckie, kształtowanie się oddziałów polskiej armii podziemnej, zmagania z ukraińskimi nacjonalistami. Pozycja zawiera także autentyczne relacje partyzantów i ich dowódców oraz osób wysiedlonych i poszkodowanych.

Władysława Czachórskiego żywot i sprawy to interesujące przedstawienie losów tego artysty-malarza i jego cieszących się ogromnym powodzeniem obrazów na barwnym tle życia artystycznego centrum Europy ostatnich dekad XIX i pierwszych lat XX wieku. Autor korzystał z dziennika artysty oraz jego korespondencji, sięgając również do monografii o nim i artykułów na ten temat. Czachórski, urodzony w Lublinie, studiował i mieszkał w Monachium, utrzymując kontakty z żywą w tym mieście kolonią artystów polskich. Okresy letnie spędzał w rodzinnym dworku w Grabowczyku - majątku leżącym niedaleko Grabowca.

Cała twórczość Wacława Jaroszyńskiego opiewa dzieje i piękno rodzinnych stron Autora i związanych z nimi ludzi.

ANEKSY

1. Zaświadczenie o przybyciu do Polski z terytorium ZSRS i rejestracji w Punkcie Przyjęcia w Białej Podlaskiej
2. Zaświadczenie o pobycie w obozach na terenie ZSRS wydane przez Komitet do spraw Archiwów przy Rządzie Federacji Rosyjskiej w Moskwie
3. List Komisji Polskiej Stowarzyszenia „Memoriał" w Moskwie towarzyszący zaświadczeniu o pobycie w obozach w ZSRS
4. List gratulacyjny z okazji odznaczenia Krzyżem Zesłańców Sybiru

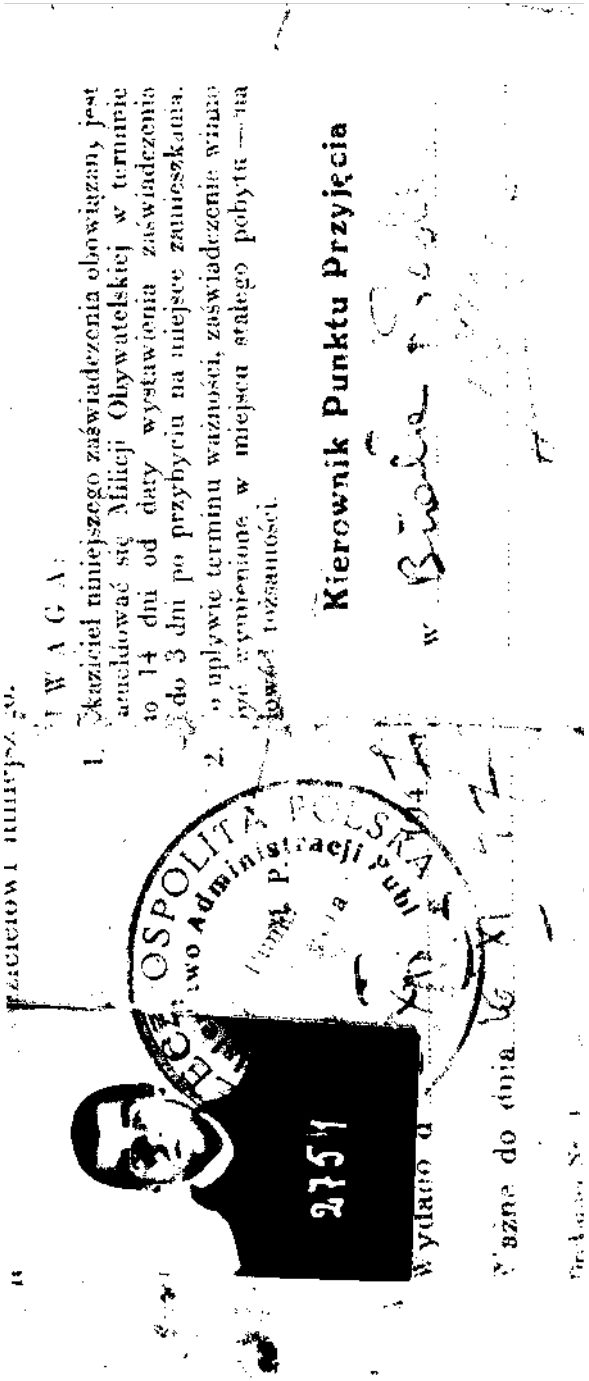

Moskwa, 8 marca 1994 *v.*

Komisja Polska Stowarzyszenia "Memoriał"
103051 Mockes, Majwtt KapoTHHfl nep., 12
OdmecTEo "MeMopnajT

Pan Waoław Jaroszyński
ul. Miła 1
21-040 Świdnik
woj. lubelBkie,
PolBka

Szanowny Panie!

W odpowiedni na nasze wystąpienie w Pańskiej sprawie otrzymaliśmy załązone zaświadogenie archiwalne, wystawione przez Centrum Przechowywania Zbiorów Historyczno-Dokumentalnych, w którym znajduje się dokumentacja dawnego Głównego Zarządu NKWD do spraw jeńców wojennych i osób internowanych (Bkrót rosyjski -ryiBM HKBJI). Podane w zaświadczeniu daty początku i końoa internowania - to data areBztowanaia oraz data przekazania Pana władzom poiekim, zawarte w Pańskiej teczce personalnej.

Niestety, w Pańskiej teczce personalnej nie ma wzmianki o praoy w kopalni. Nie są również wymienione podane przez Pana podobozy obozu Nr. 523 w Samoowłet, Kostousowo, na stacji Krutioha, oraz pobyty w szpitalu. To jest sytuacja typowa, gdyż w zachowanych arohiwalnyoh teozkaoh personalnych podobozy odnotowywano wówozas tylko sporadycznie.

Prosimy o powiadomienie w przypadku, gdyby zaświadczenie okazało się niewystarczające.

W poozuoiu własnej odpowiedzialności moralnej jako obywatela kraju, który zawinił wobec PolBki i Polaków, proszę o przyjęcie wyrazów ubolewania z powodu doznanyoh przez Pana cierpień i krzywd.

Z poważaniem

Za Komisję Polską Stowarzyszenia "Memoriał"

Aleksander Gurjanow

RZECZPOSPOLITA POLSKA
Ministerstwo Administracji Publicznej
Państwowy Urząd Repatriacyjny

Punkt Przyjęcia
w Białej Podl.

Wzór Nr. 3
(dla mężczyzn w wieku od lat 16 do 50)

Zaświadczenie Nr. 058367

Zaświadcza się niniejszym, że ob. Jaworzyński Wacław Mich.
(nazwisko, imię, imię ojca)

16 VII 1918 Góra Grob. inc. gm. Grabowiec pow. Hrubieszów
(rok i miejsce urodzenia)

przybył do Polski z terytorium ZSRR.

i dnia „2" lipca 1947 r. zarejestrował się na Punkcie

Przyjęcia w Białej Podl.

Obecnie udaje się do Lublin (dokładny adres) Grabowiec pow. Hrubieszów

Na podstawie zarządzenia Rady Ministrów z dnia 7. 7. 47

ob. Jaworzyński Wacław ma pierwszeństwo i prawo jednorazowego bezpłatnego przejazdu wszelkiemi środkami lokomocji do Lublin gm. Grabowiec pow. Hrubieszów

Władze Państwowe i Samorządowe proszone o udzielenie jaknajdalej idącej pomocy posiadaczowi niniejszego.

Wydano dn. 10. XI 1947 r.

Ważne do dnia 6. XI 47

M. P.

UWAGA:

1. Posiadacz niniejszego zaświadczenia obowiązany jest zameldować się Milicji Obywatelskiej w terminie do 14 dni od daty wystawienia zaświadczenia oraz do 3 dni po przybyciu na miejsce zamieszkania.
2. Po upływie terminu ważności, zaświadczenie winno być wymienione w miejscu stałego pobytu — na dowód tożsamości.

Kierownik Punktu Przyjęcia

w Białej Podl.

Drukarnia Nr. 1

ANEKS 2.

KOMITET DO SPRAW ARCHIWÓW przy Rządzie Federacji Rosyjskiej

Centrum Przechowywania Zbiorów Historyczno--Dokumentalnych

125212, m[iasto] Moskwa, ul. Wyborgskaja 3 tel. 159-73-83

4 marca 1994 r. Wychodzący Nr 6 Egz. Nr 1

Na nr 112-g z 29 grudnia 1993 r.

Informujemy, że według ewidencji byłych jeńców wojennych i internowanych jest wpisany na listę ob. **Jaroszyński Wacław, syn Michała i Marii,** urodzony w 1919 roku we wsi Góra Grabowiec, powiat hrubieszowski, województwo lubelskie, Polska, Polak, obywatel polski,
od 9 listopada 1944 r. do 1 grudnia 1947 r. znajdował się w ZSRS w charakterze internowanego[1], gdzie był wykorzystywany do różnych prac. Informacji o pracy pod ziemią nie stwierdzono.

W okresie przebywania w ZSRS nie był pozywany przed sąd.

Nieszczęśliwych wypadków nie było. Był więziony w obozach NKWD-MWD ZSRS: obozie sprawdzająco--filtracyjnym[2] Nr 0302 w obwodzie mołotowskim, w obozie Nr 523 (w oddziałach obozowych Nr 2 w mieście Rież i Nr 3 w mieście Artiemowski) w obwodzie swierdłowskim i w obozie Nr 284 w mieście Brześć jako członek Armii Krajowej.

Dyrektor - Korotajew W. I. Zarządzający oddziałem - Nosyriewa Ł. Ł.

(tłumaczenie: Aleksander Iwaszczonek)

[1] Tzn. więźnia w obozie, [przypisy - A. I.]
[2] Obóz dla osób z terenów okupowanych przez Niemców, tzw. „spec-łagier"

SPIS TREŚCI

I.	Aresztowanie i przesłuchania	5
II.	Droga w nieznane	9
III.	„Na białe niedźwiedzie"	12
IV.	Łagier Nagorna	17
V.	Lagier Samoswiet	28
VI.	Łagry Kruticha i Kostoucha	30
VII.	Łagier Rież	41
VIII.	Powrót do kraju	48
IX.	Biała Podlaska	51
Życiorys Autora		54
Aneksy		60

Biblioteka Publiczna
* Nr inw. 39093 *
Gminy Grabowiec

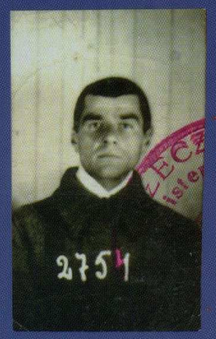

Wacław Jaroszyński urodził się 16 lipca 1919 roku w Górze Grabowcu (pow. Hrubieszów).

Podczas II wojny światowej uczestniczył w konspiracyjnym ruchu oporu, dostarczając komunikaty z nasłuchu radiowego. Zaprzysiężono go w styczniu 1940. W organizacji niepodległościowej ZWZ-AK nosił pseudonim „Lis".

6 grudnia 1944 roku w Skierbieszowie został aresztowany i wywieziony do sowieckich łagrów na Uralu. Przebywał w obozach pracy: Nagorna, Samoswiet, Kruticha, Kostoucha, Rież, w których spędził łącznie 33 miesiące. Do Polski powrócił w listopadzie 1947 roku.

Niniejsza pozycja opowiada o życiu w GUŁ-agach, o pracy Autora w kopalniach i w syberyjskiej tajdze.

ISBN 978-83-7222-424-8
ISSN 1508-7956

NORBERTINUM

9 788372 224248